

Data publikacji: 2015-12-16

Dobry duch rytwiańskich stawów



W Rytwianach znają go chyba wszyscy. Ma 79 lat, codziennie wstaje przed szóstą rano i nie wyobraża sobie, by przynajmniej kilka razy dziennie nie pojawić się na miejscowych stawach. inżynier Andrzej Skaziński zna się na hodowli karpia jak mało kto.



Andrzej Skaziński przez swoich wychowanków, dawnych i obecnych współpracowników zwany jest po prostu Inżynierem.

| Zdjęcia: Jarosław Czerwiński

Monitoruje zasilającą stawy Czarną Staszowską, właścicielowi Gospodarstwa Rybackiego „Rytwiany” podsuwa nowe rozwiązania i usprawnienia, no i uważnie obserwuje zachowanie ryb. Rybactwu poświęcił ponad 60 lat - całe swoje dorosłe życie. i wciąż nie może usiedzieć w miejscu

- Zdziadziałbym, gdybym nic nie robił - przyznaje ze śmiechem mgr inż. Andrzej Skaziński przez swoich wychowanków, dawnych i obecnych współ- pracowników zwany po prostu inżynierem. W tym jednym określeniu zawiera się i docenienie kompetencji oraz chęci dzielenia się wiedzą, i uznanie dla znajomości 180-hektarowego gospodarstwa w Rytwianach, i szacunek dla człowieka. - Co- raz częściej, jak to bywa w tym wieku, analizuję swoje życie, w którym cieszyłem się sukcesami, ale i przeżywałem porażki. Najważniejsze jest jednak dla mnie to wewnętrzne poczucie, że nikomu nie zrobiłem krzywdy.

Andrzej Skaziński nie pochodzi ze Świętokrzyskiego. Urodził się w Stęszewie pod Poznaniem, ale dorastał w . Widuchowej (Zachodnio- pomorskie), gdzie po wojnie przeprowadzili się jego rodzice. Kiedy w 1954 roku w pobliskim Gryfinie zdał ma- turę, pojawiło się pytanie: „Co dalej?”. Brat, zapalony wędkarz, inicjator wędkarskich wypraw nad Odrę, namawiał na studia rybackie w ówczesnej Wyższej Szkole Rolniczej w Olsztynie.



Zdarza się, że inżynier Andrzej Skaziński sięga po mikroskop, by przeprowadzić rybacką diagnozę na obecność pasożytów mogących zagrozić życiu hodowanych karpia.

- A ja się łamałem - wspomina inżynier. - To wcale nie było tak, że marzyłem o takim kierunku studiów, poza tym to był dopiero trzeci powojenny rocznik na kierunku rybactwo, a więc chętnych było bardzo wielu, a co za tym Idzie egzaminy wstępne trzeba było zdać naprawdę dobrze. Zdecydowało moje zamiłowanie do przyrody i zoologii. Złożyłem papiery, pojechałem na egzaminy i dostałem się za pierwszym razem.

Tomiska z myślami Lenina

Na początku był szok. A to za sprawą przedmiotów niemających nic wspólnego z rybaczem. W 1954 roku o politycznej odwilży nie było jeszcze mowy, a więc studenci, chcieli czy nie, przez dwa semestry musieli zgłębiać tajniki marksizmu-leninizmu, a podczas dyskusji wykazywać wyższość tej teorii nad innymi.



W sierpniu 1958 roku Andrzej Skaziński otrzymał dyplom ukończenia studiów (nr 200) wraz z tytułem inżyniera rybactwa (uzupełniające studia magisterskie zaliczył już podczas pracy).

- Nie ja jeden bardzo nie lubiłem tego przedmiotu - mówi Andrzej Skaziński. - Wciąż mam przed oczyma te wielkie tomiska z myślami Lenina... Później miałem jeszcze kłopot z zajęciami wojskowymi. Jakaś taktyka, mapy - okazałem się kompletnym antytalentem wojskowym.

Zdecydowanie lepiej Inżynier wspomina przedmioty kierunkowe, na które chodziło się z

przyjemnością. Nie było chyba osoby, która nie ceniłaby profesora z Gdańska, wykładającego zoologię i fizjologię ryb. Takie nazwiska wykładowców jak Grabda, Towarnicki, Ol-szewski, Wawrzyczek, Karnicka już wtedy zapadały przyszłym rybakom głęboko w pamięć. Studentowi z Widuchowej chyba najbardziej do serca przypadła limnologia, zajmująca się badaniem wód słodkich, dyscyplina utwierdzająca go w przekonaniu, że w 1954 roku dokonał właściwego wyboru.

U progu kariery

W sierpniu 1958 roku Andrzej Skaziński otrzymał dyplom ukończenia studiów (nr 200) wraz z tytułem inżyniera rybactwa (uzupełniające studia magisterskie zaliczył już podczas pracy). Czy właśnie wtedy poczuł się rybakim z krwi i kości? - No, nie - wtedy to dopiero zdałem sobie sprawę, ile to jeszcze muszę się nauczyć - Inżynier uśmiecha się znacząco na wspomnienie nocnych godzin spędzonych na studiowaniu „Rybactwa stawowego” pod redakcją Andrzeja Rudnickiego. - Ale miałem szczęście. Prof. Stanisław Sakowicz, w naszej branży człowiek legenda, założyciel naszego wydziału w olsztyńskiej WSR i Instytutu Rybactwa Śródlądowego, zarekomendował mnie swojemu koledze prof. Karolowi Starmachowi z Zakładu Biologii Wód w Krakowie. Tak trafiłem do Gospodarstwa Rybackiego w Gołyszu koło Skoczowa pod skrzydła dyrektora Jana Brody. Byłem asystentem, zajmowałem się bentosem - głównym pożywieniem karpia, czyli organizmami zwierzęcymi i roślinnymi, zamieszkującymi dno zbiorników wodnych.

Kariera naukowa nie trwała jednak długo. Konkretnie do chwili, gdy dyr. Broda zaproponował, by Andrzej Skaziński poprowadził po nad 800-hektarowy zakład w Gołyszu, jeden z kilku w gołyskim gospodarstwie. Młodemu inżynierowi podlegały nie tylko karpiove stawy, ale też ziemia rolna i hodowla bydła. A na terenie gospodarstwa pojawiali się różni goście.

- Choćby Edward Gierek, który uczestniczył w polowaniu na bażanty, zorganizowanym przez dyr. Brodę - wspomina Andrzej Skaziński. - Nawiasem mówiąc, z przyszłego pierwszego sekretarza KC PZPR strzelec był mierny, stawowi podrzucali mu bażanty. Sam to widziałem.

Towarzysz sekretarz, a kłusuje...

To podczas pracy w Gołyszu Andrzej Skaziński ożenił się. Żona Teresa, z zawodu pielęgniarka, pracowała w przy cukrowniczym żłobku w odległym o trzy kilometry Chybiu. Plus był taki, że opiekowała się też własnym dzieckiem, minusem były, szczególnie zimą, dojazdy. Gdy pojawiła się propozycja objęcia stanowiska dyrektora PGRyb. „Ińsko” (Zachodniopomorskie), Andrzej Skaziński długo się nie zastanawiał- wracał przecież w rodzinne strony. Było to też jednak wielkie wyzwanie. Gospodarstwo typowo jeziorowe (łącznie ok. 7 tys. hektarów) wymagało sprawnego zarządzania i - w pierwszej kolejności- zmierzenia się z powszechnym kłusownictwem. Inżynier czuł, że wiele od niego zależy, z zapałem więc podjął nowe obowiązki, wykazując się całkiem niezłymi wynikami. Niestety, z czasem atmosfera w Ińsku zaczęła się zagęszczać. Przez kłusowników właśnie.

- No bo któregoś razu na przestępczym procederze nakryliśmy jednego z sekretarzy partyjnych z Goleniowa - wspomina Andrzej Skaziński. - Z tego nie mogło wynikać nic dobrego.

W 1970 roku oferta pracy na stanowisku ichtiologa w GR „Wójcza” (powiat Busko-Zdrój) była oczywistą degradacją. Skaziński przyjął tę ofertę z prostego powodu - nie było Innej. Trzy lata później przeniósł się na takie samo stanowisko do Rytwian I tu już zakotwiczył na dobre. Przez 23 lata zarządzał tym obiektem, podlegającym najpierw pod Gospodarstwo Rybackie „Górki”, a od 1978 roku pod PGRyb. w Zaklikowie.

Plany, ścieki i nerwy

Nie była to lekka robota. Zmorą Skazińskiego stała się oczyszczalnia ścieków w pobliskim Staszowie. Teoretycznie miała przyczynić się m.in. do poprawy warunków hodowli na położonych przy Czarnej

Staszowskiej stawach, na które miały trafiać mechanicznie oczyszczone ścieki. O korzyściach mówiono dwojakich. Po pierwsze, stawy stałyby się oczyszczalnią trzeciego stopnia, gdzie następowałyby oczyszczenie biologiczne wody. Po drugie zaś, odpowiednio przygotowane ścieki miały stanowić doskonałą pożywkę dla planktonu, który z kolei miał zastąpić w dużej części dokarmianie ryb deficytowym zbożem.

Niestety, to co sprawdzało się gdzie indziej, w Staszowie już niekoniecznie. Po prostu oczyszczalnia - zdaniem inżyniera - od początku zbyt mała jak na potrzeby tego miasta - nie mogła utrzymać niezbędnych parametrów. Problem potęgował także - wskutek bardzo dużych potrzeb pobliskiej kopalni siarki - deficyt wody w Czarnej Staszowskiej. Jakby tego było mało, naukowcy właśnie w Staszowie postanowili badać przydatność ścieków komunalnych i przydatność stawów do ich oczyszczania. Czym to wszystko skutkowało? Ano tym, że do stawów trafiała woda ze zbyt dużym zagęszczeniem ścieków i powstawały warunki beztlenowe.

- Ile ja miałem z tym nerwów, ile razy przez tę wodę padły nam ryby - dodaje Andrzej Skaziński. - A przecież miałem narzucone plany produkcyjne, z których byłem rozliczany. I nikogo nie interesowało, że na jakość wody nie mam żadnego wpływu. Na szczęście problem ostatecznie rozwiązało pobudowanie w Staszowie biologicznej oczyszczalni z prawdziwego zdarzenia. Dziś nie ma więc problemu ani z jakością, ani ilością wody. Co jeszcze na stawach się zmieniło?



Tak niegdyś wyglądały rybackie żniwa, czyli jesienne odłowy karpia w Państwowym Gospodarstwie Rybackim. | Fot: Archiwum Andrzeja Skazińskiego

- Niemal wszystko - przyznaje Inżynier. - Zachwycają przede wszystkim rozwiązania techniczne, te nowoczesne koparki, spychacze, pompy, systemy napowietrzania i możliwości przewozu ryb. Kiedyś miałem do dyspozycji parę koni i wóz, na który ładowało się najwyżej 200-300 kilo karpia. A teraz słyszę, że można załadować i 1000 kilo karpia do basenu i jeszcze w dobrej kondycji przewozić je nawet na znaczne odległości.

Karp otwiera wszystkie drzwi

Inaczej za Peerelu wyglądał też handel karpami. Nikt wtedy nie martwił się o zbyt. Ryba to był „głodny towar”. Za dorodnego karpia można było wiele załatwić, choćby części do ciągnika i różnych maszyn. Kto miał karpia, ten mógł mieć niemal wszystko. Świeża ryba otwierała drzwi do najróżniejszych sklepów i magazynów, o portfelach nie wspominając. Po karpie przyjeżdżali do Rytwian górnicy z kopalni Halemba i Pstrowski. Od razu było widać, że górniczej braci się powodzi - towar brali na pniu, o cenie nie dyskutowali, a „w gratisie” zostawiali jeszcze towary, których w normalnym sklepie w tam-tym czasie nie było - od koszul, przez rajstopy, po kalesony.



Teresa i Andrzej Skaziński kochają zwierzęta. Razem z nimi mieszka suczka Pusia i pięć kotów.

W latach 90. do Rytwian zawitały nowe czasy. Państwowe Gospodarstwo Rybackie w Zaklikowie przejęła Agencja Własności Rolnej Skarbu Państwa, a to oznaczało, że wkrótce na podległych jej obiektach pojawią się prywatni dzierżawcy. Andrzej Skaziński wspomina tamten okres jako czas wielkiej niepewności. Wolał nie ryzykować. Skorzystał z przysługujących mu uprawnień i w 1996 roku przeszedł na emeryturę pomostową. Okazało się jednak, że po tylu latach pracy trudno tak po prostu odejść - miał przecież dopiero 60 lat. Toteż z entuzjazmem przyjął propozycję współpracy, gdy po pierwotnych zawirowaniach Gospodarstwo Rybackie „Rytwiany” objął Wacław Szczoczarz.

- Wprowadzałem w tajniki rybactwa najpierw jego, później jego syna Bartka, podpowiadam też czasami jego córce Krystynie, która niedawno skończyła rybactwo na Uniwersytecie Przyrodniczym w Krakowie - mówi Andrzej Skaziński. - Serce mi rośnie, bo widzę, że sobie świetnie radzą. No i cieszę się, że cały czas mogę się do czegoś przydać. **(GK)**

Źródło: Świętokrzyski Głos Pana Karpia nr7, grudzień 2015

Gmina Rytwiany - www.rytwiany.com.pl/index.php?newsid=2251